

Lokatorzy wyrzuceni na śmietnik albo wymówki w czasach zarazy

4 maja 2020

17 proc. miejskiego zasobu mieszkaniowego w Gdańsku stanowią lokale zdewastowane, często stanowiące niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia zakwaterowanych w nich lokatorów. Nie przeszkadza to jednak Referatowi Lokalowemu gdańskiego Wydziału Gospodarki Komunalnej z pełną świadomością umieszczać niepełnosprawnych w domach, nadających się tylko do rozbiórki.



Historia pani Doroty, niepełnosprawnej mieszkanki gdańskiej dzielnicy Siedlce, to obraz pogardliwego stosunku przedstawicieli pomocy społecznej wobec najbiedniejszych oraz powszechnej zgody na skazywanie ich na życie na granicy biologicznej wegetacji.

W Polsce debatę na temat osób żyjących na granicy minimum socjalnego, lub poniżej tej granicy, rozpoczyna się często od wskazywania rzekomej „wyuczonej bezradności” ludzi zmuszonych do życia za kilkaset złotych miesięcznie. Potem natychmiast wypływa mit o jakoby wysokim standardzie życia osób

korzystających ze świadczeń socjalnych. Przypadek pani Doroty tę narrację podważa. Z jej historii wyłania się raczej obraz bezradności służb miejskich, niezdolnych do zapewnienia swoim podopiecznym warunków umożliwiających normalną egzystencję. W czasie pandemii pomoc społeczna i służby miejskie nie tyle funkcjonują źle, co świadomie rezygnują z wykonywania większej części swoich ustawowych obowiązków.

Mieszkańcy spisani na straty

Niewielki, dwupiętrowy, ceglany budynek przy ul. Ogińskiego mógłby aspirować do bycia zabytkiem, gdyby powołane w tym celu służby zajęły się właściwym utrzymaniem nieruchomości. Ale wykreślono go z ewidencji zabytków, by zaadaptować go pod lokale socjalne i komunalne dla najbardziej potrzebujących gdańszczan.

Na pierwszy rzut oka budynek z dachem dziurawym jak sito stwarza wrażenie opuszczonego. Przechodniów wyprowadzają z błędu wiszące gdzieś tam firanki w oknach, wciąż działająca instalacja elektryczna, oraz nieliczni ludzie znikający co jakiś czas w wejściu do ciemnej i zrujnowanej klatki schodowej.



Wejście do środka pogłębia wrażenie umyślnego zaniedbania i

kompletnej dewastacji. Nieruchomość jest od lat kompletnie zniszczona, z rozmysłem zapomniana przez miejskie władze, tak samo, jak zamieszkujący ją ludzie. Resztki tynku i farby pokrywającej ściany klatki schodowej łuszczą się pod wpływem starości i wilgoci, odsłaniając liczne dziury w zawilgoconych murach. Poruszanie się po niesłychanie wąskich, skrzypiących i pozbawionych poręczy schodach może być wyzwaniem nawet dla młodego i w pełni sprawnego człowieka. Dla kobiety z uszkodzonym kręgosłupem, chorującej na padaczkę, każde zejście po schodach stwarza ryzyko upadku ze znacznej wysokości.

Po przekroczeniu progu ogarnia człowieka charakterystyczny, cierpki zapach wilgoci. Jest ona do tego stopnia wszechobecna, że drewniane meble niszczej $\acute$ już po dwóch latach użytkowania. Ściany pokrywa gruba warstwa toksycznego grzyba. Przebywanie w zagrzybionych pomieszczeniach jest przyczyn $\acute$ wielu chorób ukł $\acute$ adu oddechowego, w tym astmy, a nawet gruźlicy. Dla osób cierpiących na schorzenia ukł $\acute$ adu nerwowego mieszkanie tutaj jest powolnym zabójstwem. Każdego dnia przekonuje się o tym Pani Dorota. Schorowana kobieta po operacji nerwu dł $\acute$ oni ma od dawna problemy z rozprostowaniem palców. Bolesne przykurcze prowadz $\acute$ do stopniowego zaniku mi $\acute$ ęśni i obumierania kończyny. Powinna mieszkać w suchym miejscu, wilgoć rujnuje jej zdrowie. Ale...

– Urz $\acute$ ad mi $\acute$ ał wszystkie dokumenty dotycz $\acute$ ące mojego stanu zdrowia, a mimo to z pełn $\acute$ ą świadomości $\acute$ umieścili mnie w takim miejscu – oskarża pani Dorota.

Referat Lokalowy w Gdańsku przydzielił jej mieszkanie socjalne na Ogińskiego w 2012 r., po piętnastu latach oczekiwania. Radość nie trwała długo. Przyznany lokal oferował duzo ni $\acute$ ższe standardy ni $\acute$ ż Dom Samotnych Matek z Dziećmi, a nawet poło $\acute$ żone na granicy aglomeracji Schronisko dla bezdomnych Kobiet i Matek z Dziećmi przy ul. Sucharskiego.

Wystarczy pomałować

Mieszkanie, w którym pani Dorota przebywa wraz z byłym partnerem, otaczają lokale kompletnie zniszczone i częściowo opuszczone. W jednym z nich przez lata żył starszy człowiek chorujący na syllogomanię – zaburzenie psychiczne objawiające się obsesyjnym zbieraniem dużych ilości bezwartościowych przedmiotów. W stertach śmieci zalegających w mieszkaniu zaległy się chmary robactwa. Obecnie mieszkanie stoi puste, wymaga gruntownej dezynfekcji.



Przez szparę w uchylonych drzwiach następnego mieszkania widać resztki kafelków i walające się po podłodze zniszczone sprzęty. Niegdyś było w dobrym stanie, obecnie jego lokator pogrążył się w ostatnim stadium choroby alkoholowej.

– Pamiętam pierwszą noc w tym budynku. Wcześniej nie zaproponowano mi nawet obejrzenia lokalu. Usiadłam wtedy i szlochałam, ogarnęło mnie poczucie całkowitej bezsilności. Tu było gorzej niż w pustostanie, w którym kiedyś mieszkałam. Nie było mnie stać ani na wstawienie okien, ani na wymianę drzwi, które można było przebić na wylot uderzeniem pięści- wspomina najemczyni lokalu.

Już wkrótce fatalny stan drzwi i okien spowodował włamanie, w

trakcie którego złodzieje wynieśli z mieszkania pralkę i lodówkę, a nawet metalowe drzwiczki i ruszt z pieca.

– Ukradzono mi również kafelki i panele podłogowe. Materiały budowlane zbierałam latami z myślą o rozpoczęciu lepszego życia w nowym miejscu. Policja nie chciała nawet przyjąć zgłoszenia. Kradzież sklepowa jest traktowana przez policję bardzo poważnie, a wyroki są surowe. Kradzież z włamaniem, o ile ofiarą jest osoba wykluczona, już nie zasługuje na taką uwagę – kwituje pani Dorota.

Słowa przedstawiciela miasta, który zarzekał się, że do pełnej adaptacji pomieszczenia dla osoby niepełnosprawnej wystarczy przeprowadzić niewielki remont, wymienić starą, aluminiową instalację elektryczną oraz piec, z perspektywy prawie piętnastu lat spędzonych w ruderze zakrawają na żart.

– Wystarczy pomalować – rzucił jeden z miejskich urzędników podczas odbioru lokalu.

Miejscy urzędnicy najprawdopodobniej nie chcieli sobie zdawać sprawy z technicznego stanu lokalu włączonego w miejski zasób mieszkaniowy. Potwierdza to jednoznaczna opinia urzędniczek pomocy społecznej, wydana w 2012 r. Po zaledwie jednej wizycie w domu przy ul. Ogińskiego 6 kategorycznie stwierdziła, że budynek nadaje się wyłącznie do natychmiastowego wyburzenia i nie powinien w ogóle być przekazywany lokatorom.

Najgorsze są zimy

A jednak przekazano, w dodatku nie dając pani Dorocie żadnego wyboru. Wydział Lokalowy tłumaczył się brakiem lokali socjalnych, przeznaczonych dla jednej osoby. Prócz lokalu przy ul. Ogińskiego kobiecie zaproponowano stary, pozbawiony toalety barak przy ul. Strajku Dokerów. Wyraźnie dano jej do zrozumienia, że jeśli nie przyjmie mieszkania przy Ogińskiego, to na następną propozycję będzie czekała nawet 10 lat. Tak kobieta z pierwszą grupą inwalidzką, która wcześniej za zgodą

miasta mieszkała w zlokalizowanym na Biskupiej Górze pustostanie, stanęła przed widmem bezdomności.

Cały czas wisi też nad nią widmo śmierci. Nie chodzi tylko o wilgoć: w mieszkaniu, które zajmuje, brak jest podstawowej wentylacji, co oznacza, że czad zbierający się na skutek korzystania z pieca węglowego może w każdej chwili zabić domowników. Brak wentylacji i wilgoć razem wzięte sprawiają, że w mieszkaniu nie można przechowywać nawet ubrań. Od czasu przekazania budynku do użytku mieszkańcy kamienicy przy ul. Ogińskiego 6 nigdy nie widzieli żadnego przedstawiciela miasta, interesującego się stanem technicznym ponad 100 letniej rudery.



Najgorsze są zimy. Gdy na zewnątrz temperatura spada poniżej zera, Pani Dorota musi włożyć sporo czasu i energii na rozgrzanie starego pieca, a i tak temperatura w pomieszczeniu waha się wówczas od 5 do 10°C i to tylko pod warunkiem, że na zewnątrz nie ma siarczystego mrozu. Oszczędzanie na opale nie wchodzi w rachubę. W nieogrzewanych pomieszczeniach temperatura spada do 2°C. Nie sposób funkcjonować nawet w zimowym ubraniu. Woda w rurach zamarza, więc wodę do picia i utrzymania higieny trzeba przynosić w plastikowych baniakach z pobliskiego sklepu. Gospodarstwo domowe tej wielkości dziennie zużywa trzy. U progu wiosny, gdy temperatura wyraźnie się

podnosi, woda odmarza, wybijając do góry przez muszlę klozetową.

– Zimą przeznaczam większość moich pieniędzy, by odrobinę się ogrzać. Każda zima szybko pogarsza i tak fatalny stan mieszkania i budynku. Żyjemy jak w namiocie bez wody i gazu. Nie mamy możliwości umycia się, bo w łazience nie zainstalowano nawet kranu. Całe wyposażenie ogranicza się do muszli klozetowej. Woda przesączała się przez podłogę z drewnianych belek wypełnionych zbutwiałą słomą. Przez olbrzymią dziurę w podłodze mogłam zajrzeć do mieszkania mojego sąsiada. I tak sytuacja nieco się poprawiła, gdy wygrałam z urzędem batalię o wstawienie nowych okien. Wcześniej w mieszkaniu panował półmrok. Drewniane ramy okienne z trudem podtrzymywały płyty pilśniowe, wstawione w miejsce szyb – opowiada wynajmująca.

W tym roku stosunkowo łagodna zima była wybawieniem dla mieszkańców. Gdyby nie to, dziurawy dach mógłby runąć pod ciężarem wilgotnego śniegu. Jednak to niewielkie pocieszenie. W czasie deszczu dach przecieka w wielu miejscach i bywa, że woda dostaje się wówczas do mieszkania.

– Najprawdopodobniej zrobiono wszystko, bym musiała zamieszkać w takim miejscu, by urzędnicy mogli wreszcie wykreślić mnie z listy oczekujących na przydział lokalu. Nie poinformowano mnie nawet, że w ciągu dwóch miesięcy mogę zrezygnować z przydzielonego mi urzędowo lokalu. To mieszkanie było zgniłym jajkiem, które trzeba było komuś podrzucić – przypuszcza mieszkanka kamienicy. Kobieta już po przeprowadzce dowiedziała się, że wiele lat temu w przyznanym jej mieszkaniu ktoś został zamordowany. Dlatego lokal przez 10 lat był pustostanem, w którym okazjonalnie nocowali okoliczni bezdomni.

W labiryncie paragrafów

Historia bezdomności i wykluczenia społecznego pani Doroty rozpoczyna się w połowie lat 90. czyli w momencie uzyskania

pełnoletności. Najwcześniejsze lata życia, aż do momentu adoptowania jej przez babcię w wieku 4 lat, kobieta spędziła w domu dziecka przy ul. Abrahama w Gdańsku. Popełniono karygodne zaniedbanie, nie dopełniając obowiązku zameldowania w nowym miejscu. Tym samym rozpoczynając dorosłe życie kobieta straciła podstawę prawną do zamieszkiwania w lokalu odziedziczonym po najbliższej osobie.



Pani Dorota dowiedziała się o tym w momencie odbierania pierwszego dowodu tożsamości. W rubryce „adres zameldowania” widniał adres Domu Małego Dziecka w Gdańsku, instytucji, która nie miała już żadnych zobowiązań względem dorosłej osoby. Problemy młodej kobiety szybko wykorzystała kuzynka, która przy asyście Policji usunęła krewną z odziedziczonego po babci mieszkania. W latach 90. zdobycie legalnej pracy było poza zasięgiem osoby bezdomnej.

– Z dnia na dzień wylądowałam na ulicy, bez środków do życia i bez możliwości zarabiania pieniędzy. Gdybym mogła dalej dzielić lokal z kuzynką, miałabym jakieś perspektywy życiowe. Moje życie nie musiało się wówczas potoczyć w taki sposób – wspomina pani Dorota.

Życie za 572 zł

Drobne przestępstwa szybko prowadzą do zatargów z prawem. Wyroki kumulują się i wraz z niepełnosprawnością uniemożliwiają rozpoczęcie normalnego życia. Łącznie w zakładzie karnym przyjdzie jej przesiedzieć niemal 15 lat. Na pierwszą propozycję otrzymania lokalu socjalnego pani Dorota czeka niemal połowę życia. Przez cały czas jej problemy zdrowotne nieustannie się nasilają. Mimo, że nie jest osobą w podeszłym wieku, staje się osobą niepełnosprawną z pierwszą grupą. Zostaje matką, ale sama prosi sąd o wydanie zaświadczenia o wyznaczenie rodziny zastępczej. Córeczkę wychowują biologiczni dziadkowie. Doskonale zdaje sobie sprawę, że warunki sanitarne panujące w mieszkaniu, uniemożliwiają opiekowanie się dzieckiem. Przysługuje jej zasiłek dla niepełnosprawnych w wysokości 419 zł i 153 zł zasiłku pielęgnacyjnego, co pomniejsza kwotę stałego zasiłku o analogiczną sumę 153 zł.

Po dodatkowych badaniach lekarskich przyznano jej drugą grupę inwalidzką z możliwością podjęcia pracy chronionej.

W myśl obowiązujących zasad przyznawania pomocy osobom z niepełnosprawnością, schorowana kobieta musi się utrzymać za równowartość 572 zł, z czego 111 zł wydaje na utrzymanie mieszkania, w którym nie sposób przetrwać zimy. Bywało, że rachunki za prąd były dramatycznie zawyżane przez nielegalne praktyki niektórych sąsiadów, którzy kradli prąd podszywając się pod pracowników elektrowni. Dochodziło do wycięcia całych fragmentów instalacji elektrycznej i wypruwania kabli ze ścian. Założenie licznika rejestrującego faktyczne zużycie energii elektrycznej w mieszkaniu nr 6 pochłonęło wszystkie oszczędności, które poszkodowana odłożyła na spłatę zadłużenia lokalu.

– W rezultacie przez ok. dwa miesiące musiałam żyć bez prądu, w ciemnym i wychłodzonym mieszkaniu – precyzuje lokatorka.

W 2019 roku Instytut Pracy i Spraw Socjalnych wyliczył, że wysokość minimum egzystencji, czyli sumy potrzebnej na biologiczne przetrwanie wynosi 616,55 zł dla osoby w wieku produkcyjnym i 585,04 zł dla samotnego emeryta. Poniżej tego poziomu mamy do czynienia z biologicznym zagrożeniem życia oraz rozwoju psychofizycznego człowieka. Z kolei życie za równowartość arbitralnie wyliczonego minimum egzystencji nie gwarantuje utrzymania więzi ze społeczeństwem. Zmuszanie ludzi do wegetacji za taką sumę jest formą przemocy ekonomicznej. Z rozpaczliwej sytuacji swojej podopiecznej w pełni zdawała sobie sprawę była opiekunka socjalna pani Doroty, która w miarę swoich możliwości ratowała jej domowy budżet niewielkimi sumami, przeznaczonymi na zakup żywności, opału i obuwia. Dodatkowe środki przydzielała na podstawie wywiadu w formie zasiłków celowych.

Sytuacja uległa zmianie o 180 stopni, gdy MOPS zmienił pracownika socjalnego. Przydzielony pani Dorocie urzędnik dał jej miesiąc na zdobycie dziesięciu zaświadczeń od różnych pracodawców, potwierdzających niezdolność do podjęcia pracy zarobkowej. Stwierdził, że dopiero spełnienie tego warunku skłoni go do przyznania zasiłku dla osób niepełnosprawnych. Zachowanie urzędnika nie było zgodne z prawem, jednak prawami osób żyjących na granicy egzystencji mało kto się przejmuje. Samowola pracownika MOPRu skończyła się zerwaniem współpracy między stronami. Pani Dorota wspomina współpracę z nowym urzędnikiem jako pasmo upokorzeń. Aktualnie lokatorka zrujnowanego domu przy ul. Ogińskiego musi starać się jakoś przetrwać bez stałego zasiłku przyznawanego ze względu na niepełnosprawność.

– Próbowałam podjąć pracę, ale nawet w przedsiębiorstwie zajmującym się czyszczeniem publicznych toalet nie chcieli przyjąć mojego zgłoszenia. Kierownik przejrzał moją dokumentację medyczną i skwitował krótko „nie mogę pani przyjąć, gdyby miała pani wypadek i okazałoby się, że to ja dopuściłem panią do pracy mimo stanu zdrowia, to wyładowałbym

w więzieniu”. Byłam sfrustrowana, ale jego obawy były logiczne – przyznaje Dorota.

„Spalę cię wraz z całym mieszkaniem”

– Teraz jest pandemia, więc musi pani wytrzymać – mówili zgodnie urzędnicy pomocy społecznej i dzielnicowy w odpowiedzi na skargi dotyczące coraz bardziej rozpaczliwej sytuacji bytowej pani Doroty. Nie próbowali nawet przeciwdziałać przemocy domowej, której Dorota doznawała z rąk uzależnionego od amfetaminy byłego partnera, który wciąż pojawia się w jej domu, przekonany, że może sterować życiem swojej byłej partnerki. Umowa najmu jest przypisana wyłącznie na panią Dorotę, co oznacza, że Policja mogłaby usunąć siłą sprawcę przemocy choćby ze względu na jego nielegalne pomieszkiwanie w lokalu. Zamiast działań mundurowi wybierają konsekwentną bierność.



– Jestem zmuszona do stykania się z człowiekiem, który groził mi nożem. Już nie raz zapowiadał, że spali mi mieszkanie. Dlatego w obawie o swoje życie mieszkam teraz u znajomych. Najwyraźniej mam czekać na próbę zabójstwa – obawia się ofiara przemocy.

Dzielnicowy radzi złożyć zeznanie pod numerem 112. Policja nie jest w stanie zrobić nic, poza formalnym przyjęciem zgłoszenia, tłumacząc się brakiem możliwości interweniowania w okresie pandemii. Policjanci nie wiedzą nawet, gdzie izolować agresora. Pandemia jest wygodną wymówką. Działania „pomocowe” przedstawicieli władz są naznaczone wyuczoną przez lata obojętnością. Dla ofiar przemocy mają tę samą radę, co dla lekarzy i pielęgniarek – trzeba się poświęcić.

Winą za niedomagania instytucji pomocy społecznej w Polsce obarcza się zbytne zbiurokratyzowanie instytucji, nie dostosowanie polskiego ustawodawstwa do europejskich standardów, czy ogólnie do różnorodności scenariuszy pisanych przez życie. Tymczasem polskie instytucje pomocowe działają zgodnie z logiką wyznaczaną przez ideologię neoliberalną. Stworzony po 1989 roku system pomocy społecznej zakłada, że państwo, a konkretnie samorządy mają pełnić jedynie funkcję pomocnika, który umożliwiałby przeżywającym trudności osobom wyjść z kryzysowej sytuacji i wrócić na rynek pracy. Nie ma być opiekunem. W myśl dogmatu taniego państwa, pomoc społeczna powinna ograniczać się wyłącznie do utrzymywania przy życiu najbardziej potrzebujących, którzy dodatkowo nieustannie muszą udowadniać, że ich sytuacja jest wystarczająco rozpaczliwa, by państwowe instytucje mogły rozpatrzyć ich prośbę o pomoc, bez posądzeń o marnotrawstwo funduszy. Na urzędników i urzędniczek wywierany jest nieustanny nacisk, mający zapobiec zbytniemu zaangażowaniu się pracownika opieki społecznej w konkretną sprawę. Pomoc społeczna oprócz podtrzymywania życia podopiecznych (zresztą na bardzo niskim poziomie), nie pełni żadnych innych funkcji, a korzystanie z niej stygmatyzuje społecznie. Niewielkie środki przeznaczone na pomoc najbardziej potrzebującym w połączeniu z bardzo restrykcyjnymi zasadami ich przyznawania, przedłużają wegetację osób korzystających z pomocy. Zarzut uzależniania potrzebujących od i tak skromnej pomocy stał się samospełniającą się przepowiednią.

Prywatny inwestor

Przy Ogińskiego pozostała już tylko trójka legalnych mieszkańców. Resztę lokatorów już dawno wysiedlono. Wystarczy więc opróżnić trzy mieszkania, by przystąpić do wyburzenia budynku i przekazania gruntu nowemu właścicielowi. Urzędnicy ponaglają lokatorów w sprawie uregulowania zadłużeń i zaległości czynszowych. Nie ukrywają, że należąca do miasta działka budowlana, na której zlokalizowano niszczący budynek, już znalazła hojnego nabywcę.

– Przedstawicielka MOPRu nie owijała w bawełnę. Stwierdziła wprost, że warto byłoby spłacić pozostałe zadłużenie, by nie trafić na bruk po formalnym przejęciu działki przez nowego właściciela – zdradza schorowana kobieta.

Mieszkanie przy ul. Ogińskiego jest zadłużone na stosunkowo niewielką sumę 4 tys. zł wraz z odsetkami, jednak dochód w wysokości kilkuset złotych miesięcznie zmienił życie pani Doroty w walkę o przeżycie kolejnego dnia. Oszczędności stają się nieosiągalnym luksusem, rośnie pętla zadłużenia.

Słowa urzędniczki należy czytać jako przekazanie budynku w ręce prywatnego inwestora, który nie będzie zobligowany do respektowania jakichkolwiek praw lokatorskich mieszkańców kamienicy. Siedlce ze względu na względną bliskość gdańskiego Śródmieścia są terenem atrakcyjnym inwestycyjnie. Zachodzi duże prawdopodobieństwo, że pani Dorota zostanie potraktowana bezwzględnie przez nowego właściciela gruntu i działające w jego interesie władze miejskie, bez względu na faktyczną wysokość zadłużenia, czy wolę jego spłacenia. Już kilka lat temu, pod nieobecność pani Doroty, próbowano nielegalnie wyeksmitować ją z zajmowanego mieszkania. Uratował ją wówczas pracownik socjalny, który zablokował postępowanie eksmisyjne wskazując na celowe omijanie prawa przez wykonawców czynności.

– W trakcie uruchomienia procedury eksmisyjnej przebywałam w zakładzie karnym. Nie miałam żadnej możliwości odwołania się,

ani spłacenia długów. Opiekun nieruchomości był skłonny nawet umorzyć mi nagromadzone odsetki. Warunkiem była obietnica spłaty głównego długu i skierowanie prośby o umorzenie do Referatu Lokalowego – wspomina kobieta.

Jednak Referat Lokalowy Gdańskiego Wydziału Gospodarki Komunalnej nie bierze pod uwagę możliwości umorzenia odsetek. Polskie instytucje pomocy społecznej często posyłają do pracy nawet osoby niezdolne do wykonywania najprostszych czynności. Korzystanie z pomocy społecznej jest utrudnione, wymagania wobec korzystających z pomocy są duże, a same procedury przyznawania zapomóg niesłychanie rozbudowane. Tym razem instytucja odpowiedzialna za umieszczanie niepełnosprawnych w lokalach nadających się tylko do rozbiórki nie rozważa nawet możliwości odpracowania długu. Urzędnicy zdają sobie sprawę, że w razie wypadku, instytucja którą reprezentują, musiałaby płacić poszkodowanej dożywotnią rentę.

Państwo z kartonu

Teraz, w okresie ograniczeń związanych z pandemią, pani Dorota każdego dnia boi się nielegalnej eksmisji.

– MOPR na pewno umyje ręce, a Policja nie będzie wiedziała co zrobić, lub weźmie stronę prywatnego właściciela uważając, że wolno mu wszystko. Nie jestem nawet pewna, czy w jakikolwiek sposób będzie mnie chroniła niepełnosprawność. Boję się eksmisji na bruk – podsumowuje przestraszona kobieta.

Stan pandemii i cięcie kosztów utrzymania instytucji odpowiedzialnych za administrowanie dobrem wspólnym staje się idealną osłoną dla przedsiębiorców podejmujących działania na granicy prawa. Przypadek niepełnosprawnej mieszkanki Siedlec pokazuje fasadowy charakter wielu państwowych i samorządowych instytucji. Możliwości egzekwowania prawa są zamrażane, a pomoc przysługująca osobom wykluczonym oraz ofiarom przemocy będzie stopniowo wygaszana. Czyni to z wielu instytucji biernych świadków przemocy. Jednak gdzie przebiega granica

między widzem, a współuczestniczącym? W ciągu najbliższych miesięcy będziemy świadkami nasilania się wszystkich form przemocy. Przemocy nie da się zamrozić tak, jak działań pomocowych.

Autorstwo: Maciej Ostrowski

Zdjęcia: Joanna Sobańska (działaczka Ruchu Sprawiedliwości Społecznej w Trójmieście)

Źródło: Strajk.eu